

„Przerażająca, infekująca i piękna opowieść.
Szkoda, że mogłaby być prawdziwa. Na szczęście
dowodzi, że każdy może zostać bohaterem.
Nie bój się walczyć o siebie!”

Katarzyna Bonda

GDY OGIEŃ GAŚNIE

Will Hill

ZIELONA
SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2018

www.zielonasowa.pl

GDY

OGIEŃ 

GAŚNIE

GDY
OGIEŃ 
GAŚNIE

Will Hill

przełożył
Mateusz Rulski-Bożek

ZIELONA
SOWA

Tytuł oryginału: *After the Fire*
Redaktor prowadzący: Natalia Galuchowska
Redakcja: Anna Włodarkiewicz
Korekta: Jolanta Spodar
DTP: Poldrex

Copyright © Will Hill, 2017
blonde girl with red berries © Lena Okuneva / Trevillion Images
Cover background © Sherrrry / Thinkstock
Vulture 1 © S_Lew / Thinkstock; Vulture 2 © David De Lossy / Thinkstock
© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,
Warszawa 2018

All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8073-759-4

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

*Ma kłamca długi ozór,
A złodziej nocą łupi,
Hej, lotry, dajcie pozór,
Wnet Bóg was ukatrupi.*

Piosenka ludowa



Pędzę przez dziedziniec. Oczy mi łzawią, serce tłucze w piersi. Huk wystrzałów ogłusza, kule świszczą wokół, a ich cichy skowyt brzmi jak przyśpieszone brzęczenie owadów, ale nie zwalniam, nie zmieniam kierunku. Kaplica płonie, jej dach obejmują ryczące płomienie, z których unosi się wielki pióropusz czarnego dymu, a wzmocniony megafonem głos Rządu dudni wszędzie wokół, bez końca powtarzając te same żądania:

– Rzućcie broń i wyjdźcie powoli z rękami nad głową!

Nikt go nie słucha. Ani Rządowi, ani – tym bardziej – żadne z moich Braci i Sióstr.

W oddali, blisko Bramy Frontowej, terkoce czołg. Miazdży wiotki drucziany płot, żłobiąc pustynię gąsienicami. Gdzieś spoza ryku silników i bezustannego grzechotu wystrzałów dochodzą mnie słabe okrzyki bólu i błagania o pomoc, ale udaję, że ich nie słyszę. Wbijam wzrok w drewniane kwatery na zachodnim skraju Bazy i pędzę naprzód.

Potykam się o coś.

Stopy płaczą mi się i padam jak długa na spękany asfalt dziedzińca. Uderzając o ziemię, czuję, jak wściekły ból przeszywa moje ramię, ale zaciskam zęby, wstaję i oglądam się, by zobaczyć, o co się potknęłam.

Alice leży na plecach. Trzyma się za brzuch.

Bluzkę ma przesiąkniętą czerwienią. Trudno uwierzyć, że tak wielka kałuża krwi wypłynęła z jednego człowieka. Ale Alice żyje. Znajduje mnie półprzytomnym wzrokiem i patrzy z wyrazem, którego nie umiem opisać. W jej bolesnym spojrzeniu jest szok, strach i coś na kształt zdziwienia, jakby nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło.

Patrzę jej w oczy. Chcę z nią zostać, powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że wydobrzeje, ale nic nie jest w porządku. Nie znam się na ranach postrzałowych, ale wątpię, czy Alice się wyliże.

Jestem prawie pewna, że umrze.

Wpatruję się w nią, tracąc cenne sekundy, ale mój umysł resztkami przytomności wrzeszczy: *RUSZAJ!*, więc zrywam się i pędzę do zachodnich kwater. Oczy Alice rozszerzają się, gdy się odwracam, ale nie ma w nich złości. Chyba rozumie, co muszę zrobić.

Przynajmniej tak sobie mówię.

Z wirującego dymu wylania się postać. Hamuję, ślizgając się, i podnoszę ręce do góry. Ale to nie jest jeden z Rządowych w czarnym hełmie i goglach. Oczy Amosa są przekrwione i spuchnięte, jedno ramię zwisa bezwładnie, a w zdrowej, rozedrganej ręce widzę pistolet.

– Gdzie Ojciec John? – pyta ochryplym, rwanym głosem. – Widziałś go?

Potrząsam głową, próbując go obejść, ale chwytą mnie za ramię i przyciąga.

– Gdzie on jest? Gdzie Prorok? – chrypi.

– Nie wiem! – odpowiadam, krzycząc, bo czołg jest już na dziedzińcu, strzelanina sięga zenitu, a ogień skacze z budynku na budynek. Już go nie wyprzedzę.

Odpycham Amosa z całej siły. Zatacza się do tyłu. Wyciąga pistolet w moją stronę, ale ja już pędzę dalej. Słyszę strzały za plecami, ale żaden nie sięgnie celu, nim zapadnę się w dym.

Trudno tu oddychać. Zaslaniaam usta i nos dłonią, ale dym jest gęsty, gryzący. Przeciska się między palcami, wywołując kaszel. Biegnę, lawirując i skacząc nad ciemnymi kształtami leżących wokół Braci i Sióstr. Niektórzy poruszają się, wlekąc ciała po ziemi lub wiją się w konwulsjach, jakby w ataku padaczki, ale tylko niektórzy.

Większość się nie rusza.

Wyrastają przede mną zachodnie kwatery. Ich ściany i płaskie dachy spowijają gryzący dym. Strzelanina za plecami nie ustaje. Przy takim roju kul w powietrzu nieuniknione wydaje się kwestią czasu. Ale jeśli tylko zdołam otworzyć kwatery, to nic innego mnie nie obchodzi.

Naprawdę nic.

Wytaczam się z gęstego dymu i pędząc ku najbliższej chacie, nerwowo wyciągam z kieszeni uniwersalny klucz. Chwytam kłódkę na drzwiach. Słyszę skwierczenie i przez ułamek sekundy nie rozumiem, co się stało, aż moje ciało eksploduje bólem. Odrywam rękę od kłódki – zostaje na niej większość skóry z wnętrza dłoni. Padając na kolana, przyciskam oparzoną dłoń do brzucha, a z ust wyrывa mi się nieludzki wrzask.

Nie zniosę tego!

Boli!

Jakby ktoś wcisnął mi dłoń do słoja z kwasem i trzymał tam siłą. Mózg stara się ogarnąć tę gehennę. Przy niej wszystko inne schodzi na dalszy plan: smród dymu, żar ognia i huk wystrzałów. Szarość wciska się we mnie ze wszech stron, jak gdyby ktoś pokrętłem zmniejszał czułość moich zmysłów. Wtedy coś popycha mnie od tyłu, powalając na ziemię, i wszystko gwałtownie wraca.

Nade mną stoi jeden z Rządowych. Jego twarz kryje maska. Celuje we mnie bronią, między oczy. – Pokaż ręce! – słyszę głos mężczyzny. – Chcę je zobaczyć!

Podnoszę je nad głowę, trzęsą się.

– Proszę – skrzeczę sucho – tam są dzieci. W kwaterach.

– Stul pysk! – wrzeszczy. – Ani słowa!

– Proszę – powtarzam. – W środku. Musisz im pomóc.

Rządowy spogląda na budynki. Mam zawroty głowy, a mój żołądek kurczy się gwałtownie. Rozdzierający ból dłoni zaraz pozbawi

mnie przytomności, ale nie pozwalam sobie zamknąć oczu. Zmuszam skołowany mózg, by skupił się na majaczącej nade mną ciemnej postaci.

– Klódki – szepczę, podając mu klucz. – Błagam...

Opadam z sił. Rządowy patrzy na kwatery. Potem na mnie. I znów na kwatery.

– Szlag! – rzuca, po czym wyrywa klucz z mojej ręki i obraca się ku drzwiom. Patrzę, jak chwyta klódkę dłonią w rękawicze, wsuwa klucz i przez jedną potworną chwilę uderza mnie myśl, że to wszystko okaże się stratą czasu, że klucz uniwersalny nie pasuje do tych klódek. I wtedy zamek się obraca, a klóдка ustępuje. Rządowy otwiera drzwi na oścież, a z wnętrza, kaszląc, wytacza się tłum moich Braci i Sióstr. Z ich przekrwionych oczu leją się łzy.

– Do Bramy Frontowej – charczę resztką sił. – Idźcie razem, z rękami w górze...

W grupce dostrzegam Honey i coś ściska mnie w piersi tak mocno, że na chwilę zapominam o bólu dłoni. Honey ma przekrwione oczy, spuchnięte powieki i bladą skórę, ale na jej ustach i zaciętej twarzy rysuje się determinacja, którą tak dobrze znam. No i oddycha! To najważniejsze.

Balam się, że nie będzie oddychać.

Pomaga wyjść z kwatery ostatnim szlochającym, spanikowanym dzieciakom i prowadzi je na południe, ku Bramie Frontowej. Rządowy pędzi do następnych drzwi, wzywając wsparcie przez radio, a we mnie coś odpuszcza. Ulga jest tak potężna, że mogę jej niemal dotknąć. Wtłacza nowe życie w moje wyczerpane mięśnie, więc dzwignam się i siadam.

Dzieciaki idą przez dziedziniec z rękami w górze. Nagle z dymu wypadają Rządowi, chwytają moich Braciszków i Siostrzyczki i wynoszą ich przez dziury ziejące w płocie. Dzieci płaczą i wołają

rodziców. Serce mi pęka, ale mówię sobie, że przecież żyją, ocalały, i tylko to jest ważne. Tylko to się liczy, gdy płonie świat.

Dobiega mnie wrzask. Jest tak potężny i przenikliwy, że przebija się przez strzelaninę i piekielny huk pożaru. Obracam głowę tam, skąd dochodzi. Przy płonących ruinach Kaplicy dwaj Rządowi schwytali Luke'a. Niosą go nad ziemią za ramiona i nogi. Miota się w ich uścisku, wyje i wrzeszczy, żeby go zostawili, żeby pozwolili mu Wniebowstąpić wraz z innymi.

Jego wrzask, żarliwy, pełen furii, desperacji i dzikiej paniki jest ostatnią rzeczą, którą słyszę. Potem zapada ciemność.

POTEM

...ODPLYWAM...

...czuję się tak, jakby moją dłoń spowijał ogień. Otwieram oczy. Wszystko wokół jest białe, słychać pikanie, nade mną majaczy kształt bez twarzy. Próbuję krzyczeć, ale nic się nie dzieje. Tak bardzo się boję, że nie mogę myśleć. Potem oczy uciekają mi z orbit i...

...przygląda mi się mężczyzna. Jego twarz to same oczy nad białą maską. Pokazuje wielką igłę. Gapię się na nią tyłko, nie mając odwagi drgnąć, a gdy wbija ją w moje ramię, nic nie czuję, bo potworny ból dłoni blokuje inne bodźce. Lekarze. Wiem, co to za jedni. Będąc dzieckiem, widziałam ich w telewizji, gdy jeszcze mogliśmy ją oglądać, ale nigdy dotąd na własne oczy. Prorok grzmi w mojej głowie, że lekarze to agenci RZĄDU, a każdy z nich jest sługą węża, jego głos odbija się w mojej czaszce, trzęsie mózgiem, aż kurczy mi się żołądek. Z przerażenia nie mogę oddychać, gdy lekarz przykleja mi plasterm do skóry wbitą w rękę igłę i podłącza do niej rurkę biegnącą od woreczka z mlecznobiałym płynem. Coś mówi, ale nie rozumiem. Płyn zaczyna pełznąć rurką w dół, do mojego ramienia, a ja nie mogę się poruszyć. Uda-je mi się złożyć myśl ponad wyjącem między uszami głosem

Ojca Johna – myśl o tym, co się ze mną stanie, gdy biały płyn znajdzie się we mnie i czy wciąż będę sobą, gdy znów się obudzę...

...lampy nade mną oślepiają, ból znacznie zelżał, a plastikowy worek na końcu rurki jest pusty. Mogę unieść głowę na tyle, by dostrzec wielką rękawicę bandaży owijających moją lewą dłoń. Lekarz staje czasem przy moim łóżku i przygląda mi się. Czasami słyszę odległe, podniesione głosy, a innym razem płaczę i nie mogę się uspokoić. Na przemian pocę się i marznę, i wszystko jest źle. Chcę wracać do domu, bo nawet tam byłoby mi lepiej niż tutaj.

Mężczyzna w kapeluszu i mundurze pyta mnie o imię, ale Ojciec John grzmi w mojej głowie, więc nie odpowiadam. Znowu pyta, ja znów nie odpowiadam, więc przewraca oczami i odchodzi...

...kobieta w mundurze każe komuś podnieść mnie na łóżku, czyjeś palce sięgają pode mnie, naciskają na skórę, ciągną po łóżku i podpierają plecy poduszką. Kobieta w mundurze mówi: „Od razu lepiej”, a ja prawie wybucham śmiechem, bo nic nie jest lepiej, ani trochę lepiej. „Czy wiesz, kto wznicił pożar?” – pyta, a ja kręcę głową. „Kto rozdał broń?”. Kręcę głową. „Czy widziałaś Johna Parsona po rozpoczęciu strzelaniny?”. Kręcę głową. „Co zaszło w głównym budynku? Co tam robiłaś?”. Kręcę głową. Patrzy na mnie przeciągle, a gdy znów się odzywa, jej głos jest zimny. „Dziewczyno, zginęli ludzie. Wielu ludzi. Zacznij odpowiadać”. Pochyliła się nade mną. Nie wiem, co zamierza, więc odwracam głowę. Przy jej pasku dostrzegam złotą odznakę z napisem Biuro Szeryfa

Hrabstwa Layton. Serce mi zamiera i słyszę swój własny wrzask. Kobieta w mundurze odskakuje i wytrzeszcza oczy, zdziwiona. Słyszę kroki. Ktoś biegnie. Moje serce rusza, a ja rzucam się na łóżku i wrzeszczę wniebogłosy. Czyjeś dłonie obezwładniają moje ręce i nogi, lekarz opuszcza ku mnie kolejną igłę i...

...z ciemności wypływa mrowie twarzy moich Braci i Sióstr. Włosy ludzi, których znam od zawsze, stoją w płomieniach, skóra spływa im z czaszek, a ich krzyk niesie bezustannie te same dwa słowa: „TWOJA WINA TWOJA WINA TWOJA WINA TWOJA WINA TWOJA WINA”. Odwracam się od nich i próbuję uciekać, ale ziemia pod moimi stopami zmienia się w ruchome piaski. Tonę po kostki, a wtedy koniuszki czyichś palców omiatają moje ramiona i kark. Jestem przerażona, ale nie krzyczę, bo nie jestem w stanie otworzyć ust. Mogę tylko brodzić w atramentowej czerni, wlekąc się naprzód w poszukiwaniu drogi powrotnej...

...przy łóżku stoi mężczyzna w ciemnym garniturze. Pocę się, a moja dłoń naprawdę boli, jakby żądlił ją rój owadów. Umieram ze zmęczenia. Moje ciało wydaje się zrobione z betonu i ołowiu, a powieki są najcięższą rzeczą na świecie. Mężczyzna mówi, że mnie przenoszą, chcę spytać dokąd, ale Ojciec John grzmi w mojej głowie: „Nigdy, pod żadnym pozorem, nie rozmawiaj z Obcymi”, więc wydaję z siebie tylko rzęzący szept. Mężczyzna mówi, że nie wie. Zbieram resztkę sił i pytam, kto ocalał z pożaru. Krzywi się i odchodzi...

...pędzel, który trzymam w ręce, ocieka chabrowoniebieską farbą. Wiem, że śnię, ale wszystko mi jedno, bo i tak nie chcę się obudzić. Stoję przed drewnianą ścianą i ją maluję. Słyszę odległy szum fal u podnóża klifów. Czuję dym unoszący się z komina i wiem, że gdy spojrzę w dół, zobaczę pod stopami zieloną trawę. Ale nie patrzę w dół. Maluję deskę, którą mam przed sobą, a potem następną. I następną...

...inny mężczyzna w takim samym ciemnym garniturze odczytuje listę imion z kartki. Słucham. Honey, Rainbow, Lucy i Jeremiah. Płacę. Co za ulga! Mężczyzna uśmiecha się do mnie – to pierwszy uśmiech, jaki widzę, odkąd leżę w tym łóżku – i wraca do czytania, ale wkrótce kończy, więc ulga ustępuje smutkowi, a łzy nie przestają płynąć, bo lista jest bardzo, bardzo krótka...

...sufit przesuwa się nade mną, gdy dwóch lekarzy przetacza łóżko korytarzem do pustej metalowej skrzyni, która trzęsie się, grzechoce i przyprawia mnie o nudności. Próbuje sięgnąć ścian, ale jeden z lekarzy siłą przyciska mi ręce do łóżka i moją lewą dłoń przeszywa ból przeraźliwy jak skowyt. Krzyczę, więc lekarz rzuca: „Przepraszam”, ale oczy ma zimne, a usta ukryte pod maską. Słyszę „biiip”, czuję wstrząs i do skrzyni wpływa fala chłodnego powietrza. Znów mnie wiozą, widzę wąski skrawek nieba – tak niebieski jak ściana z mojego snu – a potem podnoszą mnie i wtaczają do kolejnej skrzyni z metalu, ale w tej pełno jest półek, skrzynek, buteleczek i urządzeń, których nie rozpoznaję. Z bliska, spode mnie, dochodzi charkot uruchamianego silnika. Brzmi trochę tak jak czerwony pick-up, którym jeździł Amos, ale ten jest znacznie głośniejszy i wściekły...

...kobieta o dobrej twarzy, w białym uniformie, pomaga mi wstać z łóżka, w którym leżę, odkąd się ocknęłam, i delikatnie opuszcza mnie na inne, w białym kwadratowym pokoju z jednym oknem osadzonym wysoko na ścianie. Każę nacisnąć pomarańczowy przycisk przy drzwiach, jeśli czegoś będzie mi trzeba. Mam ściśnięte gardło. Proszę, żeby nie wychodziła, na co ona przytula mnie, więc znów płaczę, a głos w tyle głowy wścieka się potężnie, bo od dzieciństwa tyle nie płakałam, ale nie umiem przestać. „Ćśśś, ćśś” – mówi kobieta o dobrej twarzy, głaszcząc moje włosy. „Już dobrze, wszystko się ułoży”, po czym łagodnie oswabadza się z mojego uścisku i uśmiecha. Wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi. Kładąc się na łóżku, słyszę ciężki szcęk metalowego zamka...

...odpływam...

POTEM

SIEDZĘ NA CIEMNOCZERWONEJ SOFIE. Nie mogę powstrzymać drżenia nóg, ręka naprawdę boli, a ja próbuję odsunąć od siebie strach, ale i tak się boję, bo nie wiem, co ze mną będzie.

Nie wiem nawet, gdzie jestem.

Ten pokój jest większy od mojego pokoju w Bazie, ale i tak dość mały. Ma jasnoszare ściany, ciemnoszarą wykładzinę na podłodze, ciemnoczerwoną sofę i szeroki stół z dwoma krzesłami wsuniętymi pod blat po przeciwnej stronie, przodem do mnie. Wszystko jest gładkie i czyste, na stole widzę jakąś maszynkę, a znad drzwi obserwuje mnie kamera. Kobieta o dobrej twarzy w białym uniformie, siostra Harrow, przyprowadziła mnie tu przed pięcioma minutami. Gdy popchnęła drzwi, dostrzegłam na nich napis: „Pokój Rozmów Indywidualnych NR 1”.

Zanim wyszła, spytała, czy czegoś potrzebuję. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Słyszę szcęk zamka i wstrzymuję oddech. Drzwi otwierają się i wchodzi jakiś mężczyzna. Jest niski, ma gęstą brodę, rzednące włosy i głębokie zmarszczki po obu stronach przyjaznych oczu. Nosi białą koszulę, krawat i skórzaną torbę na ramieniu. Odsuwa jedno z krzesel, siada, wyciąga z torby stos notatników i przyborów do pisania i starannie układa

je przed sobą na stole. Kiedy osiąga pożądany efekt, wciska przycisk w maszynie, czeka, aż zaświeci się zielona lampka, i uśmiecha się do mnie.

– Dzień dobry – mówi.

Nie odpowiadam.

Pamiętam, że wcześniej, gdy leżałam półprzytomna w łóżku, pytałam o coś mężczyznę w garniturze. Ale teraz myślę jaśniej, a niektóre sprawy tak głęboko wplotły się w tkaninę mojej tożsamości, że nie pamiętam czasu, kiedy ich tam nie było. Trudno mi obejść je rozumem, nawet teraz, gdy stało się to, co się stało.

„Nie rozmawiaj z Obcymi. Przenigdy!”

– Nazywam się doktor Robert Hernandez – kontynuuje. – Jestem Dyrektorem Oddziału Psychiatrii Szpitala Dziecięcego w Austin. Wiesz, kto to jest psychiatra dziecięcy?

Milczę.

– To specjalista od dobrego samopoczucia u dzieci. Zwłaszcza tych, które przeżyły traumę. Słucham ich i próbuję pomóc.

Głos Ojca Johna w mojej głowie wrzeszczy, że Obcy pragną tylko mojej krzywdy. Chcą mnie torturować i zabić.

– Rozumiem, że ta sytuacja budzi w tobie lęk – mówi doktor Hernandez. – Przeszłaś piekło i wiem, że strasznie cię boli. Ale, niezależnie od tego, co ci mówiono, nie jestem twoim wrogiem i przyrzekam, że nie chcę twojej krzywdy. Chcę pomóc. Ale żeby to było możliwe, musiałabyś mi zaufać. Na początku tylko troszeczkę. Myślisz, że możesz?

Wgapiam się w niego. Jego wyczekujący wzrok dowodzi, że nie ma pojęcia, o co mnie prosi.

– Zacznijmy od czegoś prostego – ciągnie. – Powiesz mi, jak masz na imię?

Nie odpowiadam. Wpatruję się w jego oczy.

– Okej. Nie ma sprawy. Zrobimy inaczej, dobrze? Zadam pytanie, a ty kiwniesz albo pokręcisz głową. Nie musisz nic mówić.

Ani drgnę. Staram się nawet nie mrugać.

Jego uśmiech odrobinę blednie.

– Nie? – pyta. – Nie chcesz spróbować?

Mrugam, ale wyłącznie dlatego, że zaczynają boleć mnie oczy.

Doktor kiwa głową i bazgrze coś w jednym z notesów. Widzę, jak skrobie długopisem po kartce. Chcę wiedzieć, co o mnie pisze, ale przecież nie mogę go o to zapytać.

– Ok – mówi, odkładając długopis. – Nie chcę na ciebie naciskać, to naprawdę ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo przerasta cię ta cała sytuacja. Najlepiej, żebyś teraz wróciła do swojego pokoju, a jutro spróbujemy jeszcze raz. Nie musisz ze mną rozmawiać, zapewniam cię, że ani ja, ani nikt inny nie będzie cię do tego zmuszać. Ale gdybym nie wierzył, że rozmowa ci pomoże, toby mnie tu nie było.

Opieram się pokusie, by przytaknąć, bo Ojciec John wrzeszczy we mnie, że jestem Heretyczką i zawsze miał mnie za Fałszywą.

Doktor Hernandez znów kiwa głową, uśmiecha się szeroko i zaczyna chować notesy i przybory do skórzanej torby.

– No, dobrze – mówi. – Odpocznij. Zobaczymy się jutro.

* * *

SIOSTRA HARROW odprowadza mnie do pokoju. Milczę, idąc szarymi korytarzami, ale ona i tak obdarza mnie uśmiechem, nim zamknie drzwi i obróci klucz w zamku.

Rozglądam się po pokoju, który – jak sędzę – będzie teraz moim domem. Nie jest ani wielki, ani mały, w Bazie było wiele mniejszych, tylko ten ma umywalkę, toaletę i biurko z krzesłem.

Ale drzwi rygluje się od zewnątrz, tak samo jak tam.

Gdy siostra Harrow przyprowadziła mnie tutaj poprzedniego wieczoru, znalazłam na biurku stos ubrań, a obok niego grubą ryzę papieru, ołówki, długopisy i kredki. Spodnie, bielizna, skarpetki, T-shirty, bluzy i sportowe buty są szare. Większość wciąż spowija plastik, wszystkie opatrzone są metkami z ceną. Część z tych rzeczy mam na sobie.

Chyba nigdy wcześniej nie nosiłam całkiem nowych ubrań.

Nad drzwiami wisi świecący, cyfrowy zegar. Pokazuje 10:17. Siostra Harrow powiedziała, że codziennie o dziewiętej będzie przynosić śniadanie, a o 12:30 obiad, ale nie wiem, co mam robić między posiłkami.

Kładę się na łóżku i przez jakiś czas gapię się na sufit, potem wstaję i chodzę tam i z powrotem, aż nogi zaczynają mnie boleć, a dłoń – płonąć pod bandażami, więc siadam przy biurku.

Po Czystyce zakazano w Bazie wszystkich książek poza Biblią. Nie było też prawie wcale papieru ani ołówków, ale ja miałam gładki szkicownik, który Ojciec Patrick podarował mi, gdy byłam mała. Centurioni musieli wiedzieć o jego istnieniu, bo go nie chowałam, a jednak mi go nie zabrali. Wielokrotnie zapełniałam wszystkie strony rysunkami, aż papier w całości pokrył się rowkami po ścieranym w nieskończoność ołówku.

Biorę kartkę z ryzy i przesuwam palcami po powierzchni. Jest gładka, bo nigdy jej nie używano. Jest całkiem nowa.

Nie ma historii.

Wpatruję się w białą ścianę przede mną, aż opuszczają mnie wszelkie myśli. Wtedy biorę ołówek z plastikowego słoja i zaczynam rysować.

Od dawna to, co pojawia się na kartce, wydaje się poza moją kontrolą. Mogę chcieć narysować psa, statek kosmiczny albo bezludną wyspę, ale zawsze w końcu pojawia się to samo. Ołówek w moich palcach ożywa, jak gdyby znał moje prawdziwe intencje lepiej niż ja sama. Wiem mniej więcej, co robią psychiatrzy. Dowiedziałam się tego z telewizji i książek, kiedy jeszcze nie były zakazane, ale nie przyznałam się do tego doktorowi Hernandezowi, gdy o to spytał. Powiedziałby zapewne, że moje rysunki są projekcją podświadomości i prawdopodobnie miałby rację, ale i tak nigdy mu ich nie pokażę, więc to bez znaczenia.

Szkicuję pierwsze linie i – prawie natychmiast – znany mi obrazek zaczyna płynąć z głowy na papier. Zamieniam ołówek na kolorowe kredki i oddaję się monotonii powtarzalnych ruchów. Ręka działa automatycznie, a poplątane strzępy wspomnień płyną przez głowę...

...rysuję tatę, choć wiem, że tak naprawdę to nie on, a tylko jakaś jego wersja, którą mój mózg ożywił ze starej fotografii. Uśmiecha się do mnie. Ciekawe, czy naprawdę taki był, kiedy się uśmiechał. Ludzie, którzy się poruszają, wyglądają inaczej niż ci zastygli w ramkach...

...ogień bucha z okien Kaplicy i pędzi po pustyni jak dzikie zwierzę w pogoni za ofiarą, trzaskając z drapieżną rozkoszą...

...wyraz twarzy Honey, gdy sprzeciwiła się Ojcu Johnowi, rzucając mu Herezję prosto w twarz...

...moja mama, gdy widziałam ją po raz ostatni. Siedzi na skrzyni czerwonego pick-upa i wpatruje się we mnie, ściskając worek z całym swoim dobytkiem...

...Nate pochyla się nade mną w ciemności. Ma szeroko otwarte oczy, głos pełen obawy i ręce pełne zakazanych przedmiotów...

...zaryglowane drzwi w piwnicy Wielkiego Domu...

...Ojciec John, gdy jego przepowiednie wreszcie się spełniły, a Słudzy Węża stoją u naszych bram. We wspomnieniu jego twarzy szukam pewności, stanowiącej fundament Legionu, która długo przekonywała moich Braci i Siostry – a mnie samą najdłużej – że Pan nas ochroni i ześle chwalebne zwycięstwo, ale niczego nie znajduję...

...wnętrzości Alice wypływają...

...toczący się ku mnie czołg...

...tak wiele krwi...

...oto cały mój świat, na chwilę zanim się skończył...

Mam ciarki na plecach, a potem już cała drzę. Spoglądam w dół, na papier, i widzę rysunek. Zawsze ten sam.

Większość kartki wypełnia woda – bładny błękit upstrzony bielą. Nie wiem, co to – jezioro, ocean, rzeka czy jeszcze coś innego, bo największym zbiornikiem, jaki widziałam, była fontanna na rynku w Layfield. A więc nie wiem, co to za woda, ale nie rysuję jej z pamięci.

Poszarpane brązowe klify wznoszą się nad falami ku płaskowyzowi pokrytemu bujną, zieloną trawą, tak odmienną od spieczonego, pomarańczowego pyłu pustyni. Z dala od krawędzi urwiska stoi domek o bladobłękitnych ścianach, białym dachu z kominem i z delikatną smużką szarego dymu płynącą spiralnie w niebo w kolorze niemal identycznym jak woda.

Obok domku stoją dwie małe postacie. Składają się z ledwie kilku kresek, a jednak dobrze wiem, kim są.

Jedną jestem ja.

Druga to moja mama.

POTEM

BUDZĘ SIĘ W POŚCIELI MOKREJ OD POTU, w moim gardle rośnie wrzask.

Złe sny. Ogień, Luke i Ojciec John.

Patrzę na zegar nad drzwiami.

8:57.

Odkąd pamiętam, nie spałam tak długo. Być może tylko w czasie choroby. Za trzy minuty przyjdzie siostra Harrow z moim śniadaniem, jeśli wczoraj mówiła prawdę.

„Łgarstwo! – Wielki, tubalny głos Ojca Johna grzmi echem w mojej głowie. – To Obca, a Obcy łą! Zawsze!”.

Dostaję gęziej skórki na rękach. Mimo wszystkiego, co zaszło, potęga w głosie Proroka wciąż mnie przeraża, a jej płomienny autorytet nie znosi sprzeciwu. Zaciskam powieki i skupiam się z całych sił na wodzie, klifach i błękitnym domku, a głos powoli słabnie, choć wiem, że nigdy na dobre mnie nie opuści.

Otwieram oczy i siadam na krawędzi łóżka. Ręka boli bardziej niż dotąd. Horizon mówił, że ból jest oznaką zmiany na lepsze. Oby miał rację, bo czuję, jakby ktoś przypalał mi dłoń żywym ogniem, a gdy próbuję ją podrapać przez grube zwoje bandaży, mam wrażenie, że świat się zaraz skończy.

Nie wiem, o której wczoraj zasnęłam. Gdy skończyłam rysować, płakałam, aż siostra Harrow przyniosła talerz

parówek z babką ziemniaczaną. Siostra miała serdeczny wyraz twarzy, więc gdy wyszła, znów się popłakałam. Łzy spływały mi po policzkach nad obiadem.

Nie wiem, o której to było, ale gdy już zjadłam, położyłam się i zamknęłam oczy. Z moich obliczeń wychodzi, że spałam z przerwami jakieś osiemnaście godzin, ale nie czuję się wypoczęta. Jestem sterana i zużyta jak pokurczona i rozciągnięta do niemożliwości skóra, która i tak nie okryje już całego ciała.

Czuję się pusta.

W zamku słyszę klucz, ale drzwi otwierają się dopiero po pukaniu. Wydaje się to nieco bezcelowe, bo z pewnością i tak zignorowano by moje „nie wchodzić”, doceniam jednak tę uprzejmość.

Wchodzi siostra Harrow. Niesie kolejną tacę, a na niej talerz parującej jajecznicy z bekonem i smażonymi ziemniakami, miseczkę owoców i plastikowy dzbanek soku pomarańczowego. W mojej głowie – natychmiast, błyskawicznie – pojawia się myśl: „Nie mogę tego tknąć!”. Bo mimo że owoce podano oddzielnie, to są częścią tego samego posiłku co ziemniaki, a owoce i warzywa w jednym posiłku są **a b s o l u t n i e** zakazane. Prawa Legionu, które przekazał nam Ojciec John wprost z ust Pana, wryły się w mój mózg jak blizny po skalpeli.

Burczy mi w brzuchu. Prawie skręcam się z głodu. Wyciskam z siebie słaby uśmiech, gdy siostra Harrow kładzie tacę na biurku. Zerka na obrazek, który narysowałam wczoraj po spotkaniu z doktorem Hernandezem, a moje serce przyśpiesza, bo nie chcę, żeby mu się przyglądała. Czuję się obnażona.

– Świetny – mówi z coraz szerszym uśmiechem. – Gdzie jest ten dom?

– Nie ruszać – wyrzucam z siebie. To moje pierwsze słowa, odkąd mnie tu sprowadzono, wypowiedziane głosem przypominającym rechot. W mojej głowie Ojciec John mówi, że „jestem głupia, bezużyteczna i słaba”. – Proszę.

Siostra Harrow kiwa głową i odsuwa się od biurka.

– Nie dotknę go. Bez obaw. Wrócę za dwadzieścia minut, żeby zmienić opatrunek, a potem pójdziesz do doktora Hernandez. Dobrze?

Potakuję. Uśmiecha się ponownie, znika za drzwiami i zamyka je za sobą na klucz. Czekam, aż na pewno odejdzie, po czym chwytam rysunek, składam na pół i przyciskam mocno do piersi, rozglądając się po pokoju za miejscem, gdzie mogłabym go ukryć.

Nie ma takiego miejsca.

No, oczywiście. W pokojach z ciężkimi drzwiami zamkniętymi od zewnątrz i oknami, których nie sposób sięgnąć, nie ma skrytek. Przypominam sobie luźną deskę w podłodze mojego pokoju w Bazie i ciemną przestrzeń pod nią, ale tutaj podłoga zrobiona jest z gładkich plastikowych płytek, a ściany są nagie i płaskie.

Najłatwiej byłoby zniszczyć rysunek. W końcu domek na klifie nad wodą mogę sobie znów narysować. Ale nie chcę tego robić. Po prostu nie. To jedyna rzecz w tym pokoju, która jest naprawdę moja.

Nie niszczę go. Rozpinam poszewkę, chowam złożony rysunek do środka i kładę tak, żeby oczywisty prostokąt kartki znalazł się między poduszką a materacem. To najgorsza skrytka, jaką widziałam, ale – choć nie wydaje mi się, żeby

w pokoju były kamery, a w każdym razie ich nie dostrzegam – gdyby siostra Harrow albo ktokolwiek inny zechciał szukać rysunku, to zajmie mu to dobre pięć sekund.

Lepszej skrytki tu nie ma.

– Chciałbym coś zaproponować – mówi doktor Hernandez.

– Mogę?

Znów jestem na sofie w Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1. Na biurku, za którym siedzi psychiatra, znajdują się jego pedantycznie ułożone notesy i przybory do pisania oraz maszynka z lampką świecącą na zielono. Gdy tylko wszedł do pokoju, spytał, jak się dziś mam. Nie odpowiedziałam, choć rzeczywiście czuję się nieco lepiej, przynajmniej fizycznie, bo siostra Harrow zmieniła mi opatrunek i posmarowała spaloną skórę wnętrza dłoni tłustym białym kremem.

Na to pytanie też nie odpowiadam.

– Rozumiem, że mam twoją zgodę – mówi. – Proponuję wymianę. Spytaj mnie o coś, a ja ci odpowiem. Potem ja zapytam, a ty odpowiesz. Co ty na to?

W mojej głowie Ojciec John ostrzega, żebym nie dała się nabrać na tę oczywistą sztuczkę, żebym nie była głupia, łatwowierna i Fałszywa. Staram się, jak mogę, zignorować ten głos, ale to naprawdę trudne, bo dudni, warczy i charczy, i przez wiele lat był jedynym głosem, który się liczył, wyłącznym źródłem prawdy w świecie pełnym łgarstw. A jednak próbuję, bo chociaż obawiam się rozmowy z doktorem Hernandezem – i w ogóle z kimkolwiek – i nie chcę odpowiadać na żadne pytania, to dwóch rzeczy muszę się dowiedzieć. Bez tego dłużej nie wytrzymam.

„Odwagi” – szepce głos z tyłu głowy, ale ten nie należy do Ojca Johna. Brzmi jak mój własny, choć mówi rzeczy, których ja nie śmiałybym wypowiedzieć.

– Okej – odpowiadam. Doktor uśmiecha się. Ciekawe, czy zaczął myśleć, że już nigdy się nie odezwę. – Ale ja pytam pierwsza.

– Oczywiście. Pytaj. O co tylko chcesz.

Biorę głęboki wdech.

– Gdzie jest moja matka?

Kąciaki uśmiechniętych ust opadają nieco. Widzę litość w jego oczach i jestem wściekła, że się nade mną użala, ale nie mogę mu tego powiedzieć, bo wyraz jego twarzy wydaje mi się zwiastunem odpowiedzi tak okropnej, że moja klatka piersiowa kurczy się z przerażenia, więżąc oddech.

– Przykro mi. Nie mam żadnych informacji o twojej matce.

Skurcz żeber ustępuje. Spodziewałam się, że odpowie albo, ściślej mówiąc, u n i k n i e odpowiedzi właśnie w ten sposób, ale i tak jego słowa mnie ranią.

„Mogło być gorzej – szepce głos w mojej głowie. – Mógł powiedzieć, że umarła”.

Fakt. To byłoby gorsze. Ale nie wiem, o ile gorsze, bo ta niewiedza jest okropna, mimo upływu lat.

– Przykro mi – powtarza.

– Nie ma jej tutaj? – Mój głos wciąż przypomina niski, wąty rechot.

– Nie. Nie ma.

– Żyje?

– Nie wiem.

Wpatruję się w niego.

– Jak to: nie wie pan?

– Po prostu: nie wiem – mówi. – Gdybym mógł, udzieliłbym ci odpowiedzi, na której ci zależy, albo skłamał, żebyś lepiej się poczuła, ale jestem głęboko przekonany, że w tym procesie szczerść jest najważniejsza. Z czasem, gdy będziesz gotowa, będziesz mogła porozmawiać z innymi ludźmi. Wielu z nich na to czeka. Może wiedzą na ten temat więcej niż ja.

„To nie żaden temat, tylko moja mama, dupku!”

Przekleństwo powoduje, że się rumienie, choć słyszałam je tylko ja. Doktor marszczy brwi.

– Co się stało?

– Kiedy?

– Co: kiedy?

– Kiedy ci inni ludzie będą mogli ze mną rozmawiać?

– W stosownym czasie – odpowiada.

– Czyli kiedy?

– Kiedy będziesz gotowa.

– A kto o tym zadecyduje?

– Ja. W porozumieniu z kolegami. Nie podam ci dokładnego planu działań, na to jeszcze za wcześnie, ale jedno mogę ci obiecać. Po naszej sesji poproszę ludzi z innych służb pracujących nad sprawą o informacje na temat twojej mamy i przekażę ci, czego się dowiedziałem. W porządku?

Wzruszam ramionami. On chce, żebym powiedziała „tak”, ale nie zamierzam.

Doktor Hernandez przygląda mi się dłuższą chwilę, po czym pisze coś w jednym z notesów. Ma ich cztery, każdy innej wielkości, i trzy podkładki z luźnymi kartkami. Nie wiem, po co mu ten cały kram.

– Dobrze. – Mówiąc to, odkłada długopis i uśmiecha się do mnie. – Teraz kolej na moje pytanie. Jeśli nie masz nic przeciwko.

„W porządku” – szepcze głos w tyle mojej głowy.

Znów wzruszam ramionami.

– Okej. Świetnie. Jak masz na imię?

– Moonbeam – odpowiadam.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Pięknie!

Milczę.

– Masz jakieś inne?

– Inne co?

– Imiona.

– A muszę?

– Większość ludzi ma co najmniej dwa.

– Niektórzy z moich Braci i Sióstr mają ich sześć albo siedem. Ja mam tylko jedno.

– W porządku – mówi. – Też dobrze.

Wpatruję się w niego. Najwyraźniej chce, żebym coś powiedziała, ale nie mam pojęcia co.

– Mówisz, że masz tylko jedno imię. Wierzę ci.

„Nie wierzysz. To oczywiste. Chociaż nie wiem, skąd pomyśl, że miałabym kłamać na temat własnego imienia”.

– Okej – mówię.

– A John Parson? Jak cię nazywał?

– Ojciec John mówił na mnie Moonbeam.

– A czy...

Kręcę głową.

– Nie chcę o nim mówić.

– Nie ma sprawy – rzuca. Unosi otwarte dłonie w geście oznaczającym „tylko spokojnie”, za który najchętniej

przywalilibym jego łbem o biurko. – Rozumiem. Dopóki nie będziesz gotowa, nie musimy rozmawiać ani o nim, ani na żaden inny temat, który sprawia ci dyskomfort.

Potwierdzam najoszczędniejszym kiwnięciem głowy. Chyba mu ulżyło.

– Świetnie – mówi. – Twoja kolej.

– Co zrobiliście z moim listem? – pytam.

Marszczy brwi.

– Z czym?

– Miałam w kieszeni list – odpowiadam. – Był tam w czasie pożaru. Gdzie on jest?

– Obawiam się, że nie wiem. Był ważny?

„Najważniejszy na świecie”.

Wpatruję się w jego twarz w nadziei, że dostrzegę w niej dowód, że kłamie. Zawsze byłam dobra w „rozgryzaniu” ludzi, zwłaszcza po tym, co przytrafiło się mamie, ale w twarzy doktora Hernandeza widzę tylko troskę, więc potrząsam głową.

– To bez znaczenia.

Potakuje, choć wcale nie wydaje się przekonany.

– Okej. Zapytaj o coś innego. To pytanie się nie liczy.

– Nie mam więcej pytań.

– Żadnych?

„Na te, które miałam, nie odpowiedziałeś”.

– Żadnych.

– No to opowiem ci o tym, co tu robimy, dobrze? Może wtedy pojawią się pytania i poczujesz się swobodniej w nowym otoczeniu.

Szczerze wątpię, ale wzruszam ramionami.

– Okej.

– Świetnie. – Zaczynam dostrzegać, że często to powtarza. – Budynek, w którym się znajdujemy, to Miejski Ośrodek Zdrowia im. George’a W. Busha w Odessie, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od twojego poprzedniego domu. Wiesz, kim jest George W. Bush?

Kręcę głową.

– Byłem prezydentem Stanów Zjednoczonych – wyjaśnia doktor Hernandez. – Wiesz, co to znaczy?

– Był szefem Rządu.

– Zgadza się. Pełnił urząd przez osiem lat, a gdy go opuścił, nazwano jego imieniem nasz budynek. Ta część ośrodka, w której się znajdujemy, to Oddział Chroniony. Tu otaczamy pacjentów opieką. To bezpieczne miejsce. Wiesz, gdzie byłaś, zanim trafiłaś do nas?

– W szpitalu.

– Brawo. W szpitalu Mercy Memorial, dziesięć kilometrów na zachód stąd. Spędziłaś tam cztery dni.

Dostaję zawrotów głowy. Wydaje mi się, że leżałam tam miesiącami.

„Cztery dni? Naprawdę tylko tyle? Czy to możliwe?”

– Wiem, że w szpitalu ktoś z tobą rozmawiał – ciągnie doktor Hernandez. – Zadawano ci pytania, kiedy nie byłaś w stanie na nie odpowiedzieć. Bardzo mi przykro, że do tego doszło. To nie powinno było się zdarzyć. Odtąd nikt nie będzie zadawał ci żadnych pytań, chyba że w mojej obecności i tylko za twoją zgodą. Obiecuję.

Kiwam głową. Po raz już, chyba, setny. Ale wciąż czuję, że to nie dość, że on oczekuje wyraźniejszej odpowiedzi, choć nie wiem jakiej. Mogłabym wydusić z siebie uśmiech, ale chyba nie byłby zbyt przekonujący.

– Nie jesteś więźniem. To ważne, żebyś nie myślała o sobie jak o więźniu. To prawda, że drzwi zamykane są od zewnątrz, a personel mówi ci, co masz robić i dokąd pójść. I jest zupełnie normalne, że w tych okolicznościach czujesz się sfrustrowana. Ale, uwierz mi, wszystko to robimy dla twojego dobra i bezpieczeństwa, bo one są najważniejsze. Nie jesteś w żadnych tarapatach.

Mało co nie parskam śmiechem.

„Nie masz pojęcia, w jak wielkich jestem tarapatach. Najmniejszego”.

– A więc mogę stąd odejść? – pytam.

– O, widzisz! – Uśmiech wraca mu na twarz. – A jednak miałaś inne pytanie.

Świdruję go wzrokiem.

– Odpowiedź brzmi: tak – mówi, gdy orientuje się, że nie zamierzam odpowiedzieć na to, co chyba miało być żartem.
– Jestem tutaj wyłącznie po to, żeby pomóc ci jak najszybciej wrócić do normalnego życia.

– Ale czy mogę odejść od razu?

Marszczy brwi.

– Cóż. Tak od razu to nie.

– Więc jednak jestem więźniem?

Zastanawia się przez sekundę lub dwie.

– Tu bardziej chodzi o to, jak widzisz swoją sytuację – odpowiada w końcu. – Patrz na nią jak na proces, przez który oboje przejdziemy. Żeby się powiódł, konieczne są pewne... ograniczenia przestrzenne. Potrzebne jest miejsce, w którym będziesz czuć się bezpiecznie. Tu będziemy mogli wrócić do tego, co przeżyłaś, i podjąć pozytywne działania, związane z tymi wydarzeniami. Gdy ten proces dobiegnie końca,

a ja zyskam pewność, że jesteś bezpieczna, gotowa i masz się dobrze, wtedy będziesz mogła odejść.

Nie wierzę, nawet przez sekundę. Ale nie ma sensu mówić tego na głos.

– A kiedy to będzie?

– Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy.

– Okej.

– Świetnie. – Doktor Hernandez otwiera jeden z notesów. – A więc, Moonbeam, ile masz lat?

„W porządku, może być”.

– Siedemnaście.

– Kiedy masz urodziny?

– W listopadzie skończę osiemnaście lat. Dwudziestego pierwszego.

– Poślę ci kartkę z życzeniami.

Kolejny dowcip. Znów wbijam w niego oczy.

Opuszcza wzrok i notuje. Czekam. W końcu jego spojrzenie spotyka się z moim.

– Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać podczas tej sesji? Dowolny temat.

– Nie.

– Na pewno?

– Nie jestem kłamczuchą – kłamię.

– No pewnie, że nie – odpowiada i znów wykonuje rękami gest „tylko spokojnie”. Tym razem mam chęć połamać mu nadgarstki, bo sędzę, że, zważając na okoliczności, jestem n i e z i e m s k o spokojna. – W takim razie może mi coś opowiedzieć? Wszystko jedno co. Nie musi to być coś ważnego, coś o twoim życiu.

– Na przykład?

– To zależy od ciebie. Cokolwiek przyjdzie ci na myśl.

Zastanawiam się nad tym. Wiem, o czym chce usłyszeć. O tym samym, o co wypytywała w szpitalu kobieta w mundurze. Ale nic nie opowiem. Ani jemu, ani nikomu innemu, teraz ani nigdy, bo – jeśli w ogóle mam na to wpływ – nie chcę spędzić reszty życia za kratami.

Ale głupia też nie jestem. Może on tak sądzi, ale się myli.

Wiem, że nigdy mnie stąd nie wypuści, chyba że coś mu opowiem.

„Patrz na to jak na proces” – szepcze głos z tyłu głowy.

Biorę głęboki wdech i zaczynam opowiadać.

PRZEDTEM

NAD GRUNTOWĄ DROGĄ biegnącą od Bramy Frontowej wznosi się tuman pyłu. Jest za mały, żeby wzbil go nadjeżdżający samochód, ale i tak wszyscy czterej Centurioni ruszają tam z karabinami w rękę. Nieczęsto mamy gości, a większość z tych, którzy się pojawiają, nie jest mile widziana.

Płot na całej długości znaczą tablice z napisem „TEREN PRYWATNY”, ale to nie zawsze odstrasza intruzów. Przez kilka kolejnych lat mieliśmy jesienią problem z pierwszorzecznymi z uczelni w Midland i Odessie, którym studenckie bractwa nakazywały ukraść coś z naszej Bazy i przynieść z powrotem. Chyba żadnemu z nich się nie powiodło, bo Centurioni zwykle przeganiali roześmianych i wrzeszczących studentów na pustynię, jeszcze zanim tamci znaleźli się przy płocie. Ale co najmniej dwóch pijanych, półnagich nastolatków musieliśmy odcinać ze zwojów kolczastego drutu wieńczących szczyt płotu. Owijaliśmy ich w koce, zapłakanych, krwawiących i białych jak ściana od przeżytego szoku, a Amos wioził ich do Layfield na pace czerwonego pick-upa, żeby ich ktoś opatrzył. W końcu przestali się pojawiać. Może znudziła im się ta sama, coroczna szopka. Nie wiem.

Ale tego gościa chyba nie musimy się obawiać, bo jest jasny dzień, a on wzbija tuman pyłu, idąc środkiem drogi. Studenci zwykle zakradali się od pustyni, z zachodu, od zakrętu

szosy. Horizon twierdzi, że tam parkowali samochody. Nie dziwi mnie, że na te eskapady porywali się wyłącznie nocą.

Idę do płotu w rosnącej grupie moich Braci i Sióstr: są tu Iris, Alice, Luke, Martin, Agavé i jeszcze sześcioro innych. Zbliżając się do bramy, czuję w brzuchu lekkie podniecenie. Centurioni ustawili się już tam w szeregu, przed którym staje Horizon. Czuję podniecenie nie dlatego, że spodziewam się kłopotów, ale ponieważ w tym, jak dotąd zupełnie zwyczajnym, dniu może wydarzyć się coś niezwykłego.

Centurioni odryglowali drzwi mojej sypialni zaraz po świcie. Na śniadanie w Sali Legionisty zjadłam to co zwykle: dwie połówki grejpfruta, dwa jajka na twardo – jaja to nie warzywa, więc nie złamałam żadnych praw – i miseczkę musli z rodzynkami. Potem przez kilka godzin pracowałam w warzywnikach za Wielkim Domem i właśnie miałam odnieść narzędzia do szopy, gdy Iris zauważyła chmurę pyłu i zawołała najbliższego Centuriona.

Wciskam się między szerokie barki Beara i Horizona i wbijam wzrok w metalowe pręty Bramy Frontowej, gdy nagle czuję, że robi mi się gorąco, jakbym za długo przebywała na słońcu.

Gruntową drogą idzie mężczyzna. Pustynny wiatr zwiewa jego długie włosy na twarz, a T-shirt wygląda jak namalowany na mięśniach rysujących się tak wyraźnie, że mogłabym je policzyć, nawet z tej odległości. Obcy ma spłowiałe dżinsy, zakurzone wysokie buty i torbę podróżną na ramieniu, a jego uśmiech sprawia, że kolana mi miękną, tak że nie wiem, czy się nie przewrócę.

– O, rany. – Oddech Alice jest przyśpieszony. – Panie, nie wódź mnie na pokuszenie.

Jestem zaskoczona, jak bardzo złości mnie ten komentarz. Alice ma dwadzieścia lat – pięć lat więcej niż ja – i dwie córki. Jakaś dziecinna część mnie, o której istnieniu jeszcze przed pięcioma minutami nie wiedziałam, chce krzyknąć: „JA PIERWSZA GO ZOBACZYŁAM!”, ale oczywiście nie krzyknę, bo to by było żałosne. Zamiast tego gapię się z łomotem serca na mężczyznę, który zatrzymuje się w bezpiecznej odległości od uzbrojonych w karabiny Centurionów i podnosi ręce w pokojowym geście.

– Bez obaw – mówi nieśpiesznie. – Przybywam w pokoju.

Jego głęboki głos sprawia, że pragnę natychmiast otworzyć bramę, popędzić drogą i rzucić mu się na szyję, mimo że jest Obcy, być może niebezpieczny i wygląda na dużo starszego ode mnie, a Trzecia Proklamacja mówi jasno, że w ogóle nie powinnam myśleć o tych sprawach.

– Sami to ocenimy. – Głos Horizona jest zdecydowany, ale nie całkiem nieprzyjazny. – Co cię sprowadza?

– Pytania – mówi nieznajomy. – Podobno u was można znaleźć odpowiedzi.

– Może tak, a może nie – rzuca Horizon. – Jak się nazywasz, przyjacielu?

– Nate – pada odpowiedź. – Nate Childress.

– Skąd jesteś, Nacie Childress?

– Z Lubbock – odpowiada mężczyzna.

„Nate. Ma na imię Nate”.

Ruchem głowy wskazuje na drogę, którą przyszedł.

– To znaczy stamtąd pochodzę, ale teraz mieszkam w Abilene.

– Kto ci powiedział, że znajdziesz tu odpowiedzi? – pyta Horizon.

– Kelnerka z baru w Layfield – mówi Nate. – Ma na imię Bethany. Rozmawialiśmy trochę i poradziła mi, żebym sam się przekonał.

„Dziękuję, Bethany! Bardzo dziękuję!”

– Mało prawdopodobne – oponuje Horizon. – Nie zadajemy się z miastowymi.

– Wspomniała o tym. Mówi, że dawniej, w dzieciństwie, rozmawiała z dziećmiakami od was i żałuje, że nie przychodzą już do miasta.

Horizon kiwa głową, a trzech pozostałych Centurioni stoją w ciszy, pozwalając mu mówić w ich imieniu.

– W porządku – odzywa się wreszcie. – Skoro szukasz odpowiedzi, to jest tu ktoś, z kim powinieneś porozmawiać. Ale ostrzegam, póki rozmawiamy jak przyjaciele, że jeżeli masz fałszywe serce, on to odkryje. Nie okłamiesz go ani nie nabierzesz, więc, jeśli taki masz zamiar, możesz równie dobrze zawrócić i wrócić, skąd przyszedłeś.

– Dzięki za ostrzeżenie, ale jednak spróbuję.

– Jak chcesz. – Mówiąc to, Horizon otwiera kłódkę na Bramie Frontowej. – Witaj w Świętym Kościele Legionu Pana. Jeśli odnalazłeś Ścieżkę Prawdy, to oby twój pobyt był długi i owocny. Ale nie ja o tym decyduję.

Cofamy się wszyscy, gdy Horizon otwiera bramę. Nate wchodzi powoli, pozdrawiając skinieniem każdego z moich Braci i Sióstr. Gdy przychodzi kolej na mnie, uśmiecha się, a ja czuję, że skóra na policzkach czerwienieje mi i płonie jak powierzchnia słońca. Chcę zabłysnąć jakąś bystrą, dowcipną i niezwykłą uwagą, ale w głowie mam zupełną pustkę, więc tylko gapię się na niego, gdy mnie mija.

– Odprowadzę cię do Kaplicy – mówi Horizon i oddaje kłódkę Bearowi, by ten ponownie zamknął bramę. – Tam poczekaś na Ojca Johna.

– Prowadź. – Nate kiwa głową.

Horizon zarzuca karabin na ramię i odchodzi z Nate'em w stronę najwyższego budynku w centrum Bazy. Wszyscy podążamy za nimi aż do asfaltu dziedzińca, gdzie Amos odłącza się od nas i zmierza w stronę Wielkiego Domu, oglądając się przez ramię. Horizon prowadzi Nate'a po schodach do Kaplicy i zamyka wrota. Nasza grupa zostaje na zewnątrz.

– No, ładnie – mówi Alice, a jej oczy przepelnia taka żądza, że prawie się cofam. – Serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Jeśli Prorok go wygoni, odchodzę razem z nim.

– Bacz na słowa, Alice – karci ją Jacob.

– Dlaczego Ojciec John miałby go wyganiać? – pytam, ignorując Jacoba.

– A po co miałby tu zostać? – pyta Luke. – Nie odwiedzają nas zbłąkane niewiniątka. Będzie mącił.

– Ucisz się, Luke – przerywa Alice. – Bzdury wygadujesz. Luke wzrusza ramionami.

– Zobaczymy.

– Właśnie – ucina Alice. – Zobaczymy.

Na werandzie Wielkiego Domu na północnym skraju dziedzińca pojawia się Ojciec John i rusza w naszą stronę w towarzystwie Amosa, idącego o krok za nim. Gdy schodzi po schodach, tłum milknie. Jego długie, ciemne włosy powiewają nad ramionami. Ma szary T-shirt, przykurzone niebieskie dżinsy i poważną, surową twarz, a jednak, zmierzając do Kaplicy, znajduje chwilę, by kiwnąć głową w naszą stronę,

po czym znika we wnętrzu. Amos przyłącza się do nas z pochmurną twarzą, na której czas zostawił swój ślad.

– Co powiedział Prorok? – pyta Luke.

– Ojciec John nie tłumaczy się takim jak ja – odpowiada Amos. – Porozmawia z nowym, potem naradzi się z Panem i oznajmi, co postanowili.

– Powinniśmy go przyjąć – słychać głos Alice.

– Aha – mruczy Amos. – Nawet wiem, która część twojego ciała chce go przyjąć.

Oczy Alice zwięzają się.

– Nie mów do mnie w ten sposób. Nie ma takiej potrzeby.

Amos wzrusza ramionami i odwraca się do niej plecami. Stoimy bez ruchu, milcząc, w oczekiwaniu na decyzję Ojca Johna w sprawie Nate'a Childressa. Mijają minuty, słońce praży nad głowami, a moi Bracia, Siostry i ja wytężamy uszy, próbując złowić jakieś słowo z wnętrza Kaplicy.

W końcu, a wydaje się, że minęły godziny, wysokie drewniane wrota otwierają się i wychodzi Ojciec John. Z jego obojętnej twarzy nie sposób nic wyczytać. W ślad za nim po schodach na dziedziniec schodzą Horizon i Nate. Prorok zatrzymuje się i zwraca ku tłumowi. Oni robią tak samo.

– Posłano między nas człowieka. – Pelen niewymuszonej pewności głos Ojca Johna wznosi się, grzmiąc basem na lekkim wietrze. – Przekonamy się, czy ma potencjał, by zostać Wiernym Bratem Legionu Pana, czy może powinniśmy wygnąć go jako Sługę Węża. Przekonamy się, ale nikt z tu zgromadzonych nie pozna prawdy sam z siebie. Dlatego pozwolimy nieznanemu spędzić noc w naszych murach, a każdy z nas wzniesie modły w jego intencji. Nie wątpię, że do rana Pan obwieści nam swój zamiar. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – powtarzają wszyscy, ja również.

Ojciec John daje znak Nate’owi, po czym zwraca się do Horizona.

– Dajcie mu koc i posiłek. W Budynku Dwunastym jest wolne łóżko.

– Tak, Ojczy – odpowiada Horizon.

Prorok kiwa głową i milcząc, oddala się do Wielkiego Domu. Nate przesuwając wzrokiem po zgromadzonych z uśmiechem, który – przynajmniej według mnie – jest bardziej niż tylko trochę niepewny.

– Słyszeliście Ojca Johna – mówi Horizon. – Kto zaprowadzi tego mężczyznę do...

– Ja! – wyrywam się. – Zaprowadzę go do Dwunastki.

Horizon uśmiecha się i potwierdza skinieniem. Nate unosi brew w moją stronę, a wzrok Alice wypala mi dziurę w karku.

– W porządku – podsumowuje Horizon. – Moonbeam pokaże ci, gdzie możesz zostawić swoje rzeczy. Długi budynek na wschód od Kaplicy to Sala Legionisty. Za trzydzieści minut przyjdź tam na wspólny obiad.

W rozchodzącym się nieśpiesznie tłumie słysząc ciche, podniecone rozmowy. Nic dziwnego. Nie licząc narodzin w Bazie, ostatni nowy członek przystał do Legionu ponad dwa lata temu. Nate zarzuca torbę na ramię i podchodzi do mnie z szerokim uśmiechem.

– Moonbeam. Ładne imię.

„O, Panie, daj mi umrzeć! Pozwól teraz wstąpić do nieba, bo to najwspanialsza chwila mojego życia i nic lepszego mnie już nie czeka”.

– Dzięki – udaje mi się wydusić i nagle stwierdzam, że mój głos jest śmieszny: wysoki i skrzeczący jak miauknięcie

kota. Nie rozumiem, dlaczego nikt wcześniej mi o tym nie powiedział! Jestem bliska decyzji, żeby już nigdy w życiu nie odezwać się do nikogo słowem, kiedy głos z tyłu głowy każe mi się uspokoić. Słysząc w nim szeroki uśmiech. Biorę głęboki wdech i wskazuję na północ. – Tędy.

– Prowadź – mówi Nate. – Chyba że nie ma tam jacuzzi. Marszczę brwi.

– To pokoik w drewnianym domu. Jest tam łóżko i, być może, jakieś półki.

Wybuchła śmiechem, a moje wnętrze płonie jak lawa.

– Zaprzyjaźnimy się – obwieszcza. – Już to czuję.

POTEM

– KIEDY NATE CHILDRESS POJAWIŁ SIĘ W kompleksie Legionu? – pyta doktor Hernandez.

– Nie podoba mi się to słowo. – Krzywię się.

– Kompleks?

Kiwam głową.

– Wybacz. Nie będę go używać.

– Dziękuję.

Zapisuje coś w jednym z notesów.

– A więc, kiedy się pojawił?

– Dwa lata temu.

– Dlaczego opowiedziałas mi właśnie o tym?

– Miałam coś opowiedzieć, to opowiedziałam.

– W porządku. Czy to wspomnienie jest szczęśliwe?

Zastanawiam się. Późniejsze zdarzenia wszystko zepsuły.

Moje wspomnienia są ciemne, powykrzywiane i złe, ale próbuję przypomnieć sobie uczucia w dniu, gdy zjawił się Nate. Moje prawdziwe uczucia. I to, jak bardzo ucieszyło mnie, gdy Ojciec John ogłosił, że Nate może zostać.

– Tak – odpowiadam w końcu. – Szczęśliwe.

– Dlaczego?

– Bo Nate był moim przyjacielem.

Przez długą chwilę siedzimy w milczeniu. Doktor patrzy na mnie z półuśmiechem, a ja nie wiem, czy opowiedziałam

mu właśnie taką historię, jaką chciał usłyszeć, i czy taka wystarczy – przynajmniej na razie. Zjadła tyrada Ojca Johna w mojej głowie nie ustaje, przeklinając mnie za rozmowę z Obcym, a do tego z psychiatrą, ale doktor Hernandez nie spuszcza ze mnie oczu, a jego uśmiech wygląda na szczery, i naprawdę trudno mi go przejrzeć, co zapewne jest mu na rękę, ale mnie frustruje. Nareszcie, a wydaje się, że minęły całe godziny milczenia – niezbyt krępującego, ale jednak trochę niezręcznego – patrzy na zegarek.

– Mamy jeszcze czas, ale chyba w tym miejscu przerwiemy – mówi. – Zgadzasz się?

Staram się nie pokazać wzbierającej we mnie ulgi.

– W porządku.

– Ale, zanim skończymy, mam jeszcze jedno pytanie – mówi. – Powiesz mi, gdzie mieszkałaś w kom..., to znaczy na terenie należącym do Legionu?

– Po co?

– Po ugaszeniu pożaru odzyskaliśmy osobiste przedmioty. Chcemy je zwrócić właścicielom.

Serce łomocze mi w piersi.

– Jakie przedmioty?

– Interesuje cię coś konkretnego?

– Nie – kłamię.

– A więc, gdzie mieszkałaś?

– W Budyńku Dziewiątym. Był kwadratowy. Stał w południowo-zachodnim narożniku Bazy. Mój pokój był w jego zachodnim końcu, najbliżej płotu.

Doktor Hernandez kiwa głową i notuje. Gdy podnosi wzrok, znów się uśmiecha.

– Robimy postępy. Cieszę się. To był świetny początek, możesz być dumna ze swojego zaangażowania w dzisiejszą sesję. I z tego, że zadawałaś pytania i udzielałaś odpowiedzi. To będzie bardzo ważny element w dalszych etapach procesu. Jak się z tym czujesz?

– Wcale się nie czuję – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Rozumiem.

Nie wątpię, że tak mu się wydaje, ale to niemożliwe, żeby naprawdę mnie rozumiał.

– Jeśli to będzie możliwe, chciałbym, żeby nasze sesje trwały pełną godzinę, ale dziś już nie zaprzatajmy sobie tym głowy. Odpowiadają ci codzienne spotkania o poranku?

– A mam wybór?

– Oczywiście, że masz – mówi z uśmiechem – ale niezwykle ważny jest stały plan działań i... Coś się stało?

Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu.

– Nie.

– Na pewno? – Lekko przekrzywia głowę.

Potakuję.

– Świetnie. Chcesz o coś spytać, zanim skończymy?

Zastanawiam się sekundę albo dwie i stwierdzam, że tak.

– Czy rozmawia pan też z moimi Braćmi i Siostrami?

– Osobiście pracuję tylko z tobą i dwoma innymi ocalałymi. Z szesnaściorciem pozostałych pracują moi koledzy.

– Z kim?

– Z kim co?

– Z kim pan rozmawia, oprócz mnie?

– Niestety, to informacja poufna. Ale po innej sesji, na którą cię zaproszę, sama łatwo się domyślisz.

Marszczę brwi.

– Jakiej „innej sesji”?

– Co rano, po śniadaniu, będziemy się spotykać w cztery oczy – odpowiada doktor Hernandez. – O dwunastej trzydzieści masz obiad, a po nim zaproszę cię do udziału w nadzorowanej sesji grupowej.

– Co to takiego?

– Rodzaj terapii w grupie, pozwalającej na samodzielne rozwijanie się relacji w kontrolowanych warunkach, w której ja i moi koledzy możemy monitorować interakcje społeczne osób po traumatycznych przejściach.

Wpatruję się w niego. Nie rozumiem wielu słów, których właśnie użył.

– Tą grupą będziemy ja, pan i pana koledzy?

Uśmiecha się i potrząsa głową.

– Niezupełnie.

Dokładnie o dwunastej trzydzieści pojawia się siostra Harrow z moim obiadem. Dziś przyniosła pieczeń z purée ziemniaczanym w morzu jasnoczerwonego sosu, słodkiego jak karmel, ale jestem naprawdę głodna, więc siadam przy biurku i zjadam wszystko, myśląc o doktorze Hernandezie.

Nie ufam mu. Mimo że jakaś zdesperowana, gorliwa część mnie pragnie mu zaufać, po prostu nie mogę. Chyba nie trzeba tego tłumaczyć. I wcale nie dlatego, że jest Obcym, chociaż kiedy o nim myślę, właśnie to słowo wciąż pojawia się w mojej głowie jako pierwsze. Nie mogę mu zaufać, bo póki co nie wiem, czego ode mnie chce.

To znaczy chcę uwierzyć, że nie ma żadnych ukrytych zamiarów. Że pragnie pomóc mi wyzdrowieć, żebym mogła

stąd odejść, ale nie mogę pozwolić sobie na zaufanie. Tak wielu z nas zginęło, aż sześćdziesiąt siedem osób, jeżeli lista ocalałych, którą odczytano mi w szpitalu, była prawdziwa, a ja przecież wiem o rzeczach... robiłam rzeczy, o które będą chcieli mnie wypytywać. Doktor Hernandez i ci inni, o których wspomniał. A ja przecież nigdy i nikomu nie będę mogła o tym opowiedzieć.

„Sześćdziesięcioro siedmioro – szepcze głos z tyłu głowy. – Wszyscy martwi”.

Gardło zaciska mi się gwałtownie.

„Ale osiemnaścioro żyje – kontynuuje głos. – Z tobą dziewiętnaścioro. To już coś”.

Zaciskam powieki, bo w tej chwili nie mogę myśleć ani o tym, ani o niczym, co się z tym tematem wiąże. Z ciemności obok mnie wyłania się twarz doktora Hernandeza. Zaskakuje mnie to, ale jednak koncentruję się na niej, a właściwie na nim, aż ucisk w gardle ustępuje, myśli odzyskują klarowność, a ja znów czuję się mniej więcej w porządku.

W czasie tej sesji w Pokoju Rozmów Indywidualnych Nr 1 dotarły do mnie dwie zaskakujące rzeczy. Po pierwsze, chcę dzielić się z doktorem Hernandezem moimi doświadczeniami. Po drugie, czuję, że te rozmowy mogą pomóc. Wiem, czym zajmują się psychiatrzy, choć po Czystce Ojciec John stwierdził jednoznacznie, że wszelkie formy leczenia poza modlitwą są narzędziem Sług Węża. Mimo że było to zakazane, mama poruszała ten temat w rzadkich chwilach, kiedy rozmawialiśmy o tacie. Zanim rodzice przenieśli się do Bazy, chodził na cotygodniowe rozmowy z terapeutą. Tak nazywała go mama, ale jestem pewna, że to to samo co psychiatra. Mówiła, że terapeuta

pomaga pozbyć się stresu, otworzyć i mówić o rzeczach trudnych i bolesnych.

„Przesłuchują! – wrzeszczy Ojciec John. – Łapią duszę w szpony i rwą na strzępy! Gwałcą! Skazują na piekło!”

Tubalny głos odbija się echem w mojej czaszce, przyprawiając mnie o dreszcze, mimo że nie jest prawdziwy. Bezgłośnie krzyczę, żeby się zamknął, bo chcę wierzyć, że doktor Hernandez nie kłamał, mówiąc, że nie jest wrogiem i nie chce mojej krzywdy. Naprawdę chcę mu uwierzyć. Tylko że nie mogę.

Jeszcze nie teraz.

Kończę jeść i kładę się na łóżku. Przez małe okno, celowo umieszczone tak wysoko, żeby nikt go nie dosięgnął, widzę wąski prostokąt nieba. Wracam myślami do nieba nad Bazą – z codziennym ogromem błękitu tak jasnego, że nie sposób patrzeć nań przez dłuższą chwilę, i conocną czernią nieskończoności migocącą światłem trylionów gwiazd od ziemi po Niebiosy.

W kącikach moich oczu zbierają się łzy i płyną po policzkach. Cichutki głos z tyłu głowy szepcze, że muszę być silna. Wiem, że ma rację, ale ta wiedza nie wstrzymuje łez, bo to, że będę silna, nie znaczy, że nie wolno mi tęsknić za Braćmi, Siostrami, niebem, słońcem i pustynią. Mogę być silna, a jednocześnie tęsknić, bo nic nie jest tylko złe ani tylko dobre. Wszystko jest zawieszane między dobrem a złem.

Słyszając znajomy odgłos klucza w zamku, siadam na łóżku i patrzę na zegar. Świejące cyfry pokazują 13:55. Drzwi otwierają się i siostra Harrow pyta, czy doktor Hernandez zapraszał mnie na sesję grupową. Potwierdzam skinieniem, a ona mówi, że już czas.

Wstaję i idę za nią długim korytarzem. Mijamy wiele identycznych drzwi, aż w końcu stajemy przed tymi opatrzonymi tabliczką na ścianie z napisem „TERAPIA GRUPOWA”. Siostra Harrow otwiera je i staje obok. Sekundy zdają się wlec w nieskończoność, a ja ani drgnę. Stoję w szarym korytarzu, nasłuchując.

Z wnętrza pokoju dobiegają głosy, ale nie należą do dorosłych. To raczej wysokie, niespokojne głosy dzieci.

Rozpoznaję jeden, potem następny i kolejny, a serce zaczyna walić mi jak szalone, więc rzucam się biegiem, mijam siostrę Harrow – uśmiecha się – drzwi i przez ułamek sekundy widzę buzie moich małych Braciszków i Siostrzyczek, gdy nagle wyrasta przede mną Luke. Chce wiedzieć, co powiedziałam Obcym.

– Nic – kłamię automatycznie. – Nic im nie powiedziałam.

– Oby – cedzi. – Lepiej trzymaj głębę na kłódkę.

Patrzę na niego. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był aż tak wściekły – poczerwieniał, ma przekrwione oczy i zacisnięte pięści. Za nim widzę Honey, Lucy, Rainbow i Jeremia. Reszta stoi bliżej ściany w głębi pomieszczenia znacznie większego od pokoju, gdzie spotykam się doktorem Hernandezem. Pełno tu krzeseł, stołów i pudeł z gramami i zabawkami. Tamci patrzą na mnie cudownie uśmiechnięci, a moje serce wzbiera radością i ulgą, choć głos z tyłu głowy każe mieć się na baczności.

„Ostrożnie, dziewczyno!”

– Nie powiedziałam ani słowa. Odczep się, Luke.

Chwyta mnie za ramię i ściska, aż kostki bieleją mu z wysiłku. Strasznie boli, ale nie zdradzam tego najmniejszym grymasem i wytrzymuję jego spojrzenie.

– Puść ją – żąda Honey. – Nie masz prawa nikogo przesłuchiwać. Nie jesteś tu szefem.

Luke obraca się do niej.

– Zamknij się! – wrzeszczy. – Powinnaś smażyć się w Piekle za to, co zrobiłaś, więc zamknij przeklętą gębę! Nikt nie chce słuchać twoich Herezji!

– Może i masz rację – odparowuje Honey – ale nie jestem w Piekle, tylko tutaj. Po prostu ją puść. Nikt się ciebie nie boi.

– Powinnaś gnić w karcerze, ty mała kurwo – wypluwa z siebie Luke. – Najlepiej, żebyś tam zdechła.

Żołądek podchodzi mi do gardła, ale Honey świdruje Luke'a jasnym wzrokiem, nie czerwieniąc się nawet. Ma tylko czternaście lat, ale jest odważniejsza od nas wszystkich. A na pewno ode mnie.

– Wystarczy, Luke – staram się mówić spokojnie, choć przepełnia mnie obawa. – Niczego im nie powiedziałam. Ochłoń wreszcie.

Przenosi wzrok na mnie i teraz widzę – to tak przerażająco oczywiste – że w jego oczach kłębi się szaleństwo, którego wcześniej nie dostrzegalam, póki nie było za późno.

– Pan poddaje nas próbie. – Jego drżący głos potężnieje. – Słucha każdego naszego słowa. Jest z nami w tym pokoju.

– Wierzę ci – uspokajam go. – Puść mnie już, proszę. Chcę uściskać Braci i Siostry.

Jeszcze głębiej wbija palce w moje ciało, aż w końcu rozluźnia uścisk. Cofam się o krok, obracam, przechodzę przez salę i obejmuję Honey. Inni podbiegają do nas, a ja szepczę jej do ucha, tak cicho, że tylko ona może mnie usłyszeć:

– Wiem, że masz pytania na temat pożaru. Pamiętaj, że sesje grupowe są nadzorowane. – Puszczam ją. Patrzy mi

w oczy i kiwa głową, a pozostali Braciszkwowie i Siostrzyczki opadają nas, prawie wchodząc na siebie wzajemnie, i ściskają małymi rączkami. Cieszą się na mój widok, bo myśleli, że poszłam do Nieba wraz z innymi. Jak dobrze, że tak się nie stało. Lucy ma na twarzy czarno-fioletowe sińce, a mnie, po raz drugi tego dnia, oczy wzbierają łzami. Nie płaczę dlatego, że to ja ją poturbowałam, choć mogłam to zrobić, ale ponieważ żadne dobro ani Prawda nie usprawiedliwia zamykania przerażonych dzieci w domu pełnym nieznanym. Nikt nigdy nie powinien na to pozwolić.

Nigdy, przenigdy nie powinno było do tego dojść.

– O co cię pytali? – To Aurora, jedna z córek Alice.

Moją głowę wypełnia obraz krwi wsiąkającej w pustynny piach i nagle zdaję sobie sprawę, na prawdę to do mnie dociera, choć chyba już wcześniej to wiedziałam, że ona i jej siostra, Winter, zostały sierotami.

J e z u.

Mają pięć i sześć lat, i są sierotami.

C h r y s t e.

– O nic. – Uwalniam się z uścisku małych rączek i wstaję. – Naprawdę. Jeszcze dwa dni temu byłam w szpitalu.

Aurora wskazuje bandaż na mojej dłoni.

– Poparzyłaś się?

Kiwam potakująco.

– Boli?

Posyłam jej uśmiech pełen odwagi.

– Nie jest tak źle – kłamie. – Ale ponieważ byłam w szpitalu aż do wczorajszego ranka, nie rozmawiałam z nikim stąd. O co was pytali?

– O życie – odpowiada Aurora. – Co robiliśmy i jedliśmy.
I tak dalej.

– Rozmawiałaś z doktorem Hernandezem?

Potrząsa głową.

– Z doktor Kelly. Jest miła jak na Obcą. Ciągłe prosi, żeby coś rysowała.

– Co konkretnie? – przerywa Luke.

Odwracam głowę i widzę, jak jego twarz tężeje.

– Wszystko jedno. Co tylko przyjdzie mi do głowy – odpowiada Aurora.

– I co narysowałaś? – pytam.

– Jednorożca.

Uśmiecham się.

– A może jeszcze coś?

– I Ojca Johna. Jechał na złotym koniu i tratował Sługi Węża.

Luke wyszczerza się w uśmiechu, a mój uśmiech przygasa.

– I co na to Obca? – pyta.

– Nic. Schowała obrazek do teczki i zaczęła pytać, czego się uczyliśmy.

– Zuch dziewczyna – chwali ją Luke. – N i c im nie mów. Niech sobie gada, co chce, a ty pozostań na Ścieżce Prawdy. Pan jest Dobry.

– Pan jest Dobry – powtarza Aurora z błyskiem w oczach, a za nią większość tych, którzy są z nami, choć nie wszyscy. Luke wbija we mnie wzrok, więc w końcu i ja mamroczę te słowa.

– Obcy kłamią – mówi, znów odwracając się do dzieci.
– Słuchajcie, co mówię. O b c y k ł a m i ą. Ich serca toczy razą i ciemność. Sam Wąż ją tam zasiał i pielęgnuje. Na ich

oczach dokonał się cud Wniebowstąpienia Proroka oraz naszych Braci i Sióstr, którzy zajęli należne im miejsce u boku Pana. Ale czy to dostrzegli? Czy padli na kolana, wyrzekając się Herezji? Czy błagali o wybaczenie? Otóż nie, bo ich za-trute głowy nie przyjęły prawdy, którą widzieli. Jeśli musicie, okażcie im litość, ale nigdy nie zapominajcie, kim są i komu służą. Będą próbowali oderwać nas od Pana, zwieść na ma-nowce, z dala od Ścieżki, którą tylko nam objawiła prawdziwa Wiara. Ale nie pozwolimy im na to. Nie pozwolimy, ponieważ to do nas należy Chwała wiekuista. Wszyscy wiecie, że to prawda. Oto próba naszej Wiary, ale jeśli nasza Wiara w Pana pozostanie silna, przetrwamy trudy. Nasz czas wkrótce nadejdzie.

Luke milknie. Wpatruję się w niego, a przerażenie ściska mi żołądek. Spojrzeniem błagam Honey – na jej twarzy maluje się niesmak, którego nie umie albo nie chce ukryć – żeby milczała. Zakładam, że doktor Hernandez i jego koledzy nas obserwują i nie pozwolą, żeby stało się coś złego, ale w tej chwili wcale nie czuję, że jesteśmy bezpieczni. Choć doktor obiecywał nam bezpieczeństwo, nie wiem, do czego dojdzie, jeżeli Honey postawi się Luke’owi.

Ten wpatruje się w skupione twarze młodych Braci i Sióstr, po czym przenosi wzrok na najbliższy kąt pomieszczenia. Pod sufitem dostrzegam obserwującą nas kamerę.

– A wam, Sługi Węża, powiem jedno – cedzi. – Spróbujecie nas rozbić i zniszczyć, unurzać naszą Wiarę w błocie. I dobrze, bo to Wiara prawdziwa, a w naszych sercach nie ma lęku. Oto stajemy przed wami. Lecz kiedy Pan da znak, Wniebowstąpimy i staniemy u jego boku, a wy będziecie pełzać na brzuchach przez piekielny ogień po wieki wieków. –

Luke milknie i patrzy w kamerę przez niekończące się sekundy. Wreszcie odwraca się i klęka. – Czas na modlitwę.

Dzieci chętnie otaczają go kołem, chwytając się za ręce. Honey trzyma się jak najdalej od niego, ale jednak staje w kręgu. Czuję ulgę, ze względu na nas obie. Mam nadzieję, że zrozumiała to, co powiedziałam jej na ucho. Są sprawy, o których powinna się dowiedzieć, w które tylko ja mogę ją wtajemniczyć, ale nie mogę tego zrobić, kiedy słuchają nas inni.

Klękam. Aurora delikatnie ujmuję moją dłoń w bandażach, a Rainbow mocno chwyta za zdrową. Luke patrzy na mnie przeciągle lodowatym wzrokiem, aż wreszcie zamyka powieki i spuszcza głowę. Dobrze wiem, co znaczy to spojrzenie:

„Obserwuję cię”.

Ale nie mam mu tego za złe. Naprawdę. Był wobec mnie podejrzliwy na długo przed pożarem. Słusznie. I nadal powinien być. Bo jest coś, o czym nikt nie wie i czego nigdy nie wyjawię ani doktorowi Hernandezowi, ani nikomu innemu.

To przeze mnie Aurora, Winter i wielu innych Braci i Sióstr zostało sierotami. To przeze mnie zginęło tak wielu z nas.

To wszystko moja wina.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl

„Ogień nie gaśnie od pierwszej do ostatniej strony tej książki.
Ta powieść jest dowodem, że z młodymi czytelnikami trzeba
rozmawiać jak z dorosłym odbiorcą literatury.
Bo świat młodych jest światem pełnym ognia”.

Cezary Harasimowicz

*To, co widziałam, jest wypalone we mnie
jak piętno, które nie chce zblednąć.*

Ojciec John kontroluje wszystko i wszystkich znajdujących się na Farmie.

Ojciec John lubi zasady. Szczególnie tę o nierozmawianiu z Obcymi.

Ojciec John zna Prawdę. Wie, co jest dobre, a co złe.

Ojciec John wie, co nadchodzi...

Jednak Moonbeam zaczyna wątpić.

Zaczyna widzieć kłamstwa, które kryją się w słowach Proroka.

Chce go zdemaskować.

A co, jeśli jedynym sposobem, by uwolnić się od ciemności,
jest rozniecić ogień?



Zajrzyj na:
zielonasowa.pl

15+
WIEK

ISBN 978-83-8073-759-4



9 788380 737594 >

Patroni:

Multikino

granice.pl
wszystko o literaturze

 **lubimyczytać.pl**